**Superwyprawa globtrotera**

Ponaddwudziestopięcioipółletniego pół-Polaka, pół-Słowaka, Borzygniewa Wszędobylskiego ogarnęła wszechogarniająca, niepohamowana żądza wojaży. Zamarzyło mu się przemierzyć świat wzdłuż, wszerz, wzwyż, a nawet wspak i wstecz. W okamgnieniu wbiegł chyżo do pokoju, robiąc ogromny chaos i harmider. Czym prędzej spakował swój sakwojaż. Nie zabukował żadnych biletów, ale miał nadzieję, że taka byle błahostka nie zniweczy jego planów. Założywszy degolówkę i zabrawszy budrysówkę, wyruszył w pełną niebezpiecznych przygód drogę.

Nasamprzód trzynastometrowym trzykadłubowcem przepłynął z Casablanki do Martyniki, nabawiając się kinetozy (kinestosis). Na Machu Picchu się wspinał, by podziwiać inkaskie miasto. Przemieszczał się Koleją Transandyjską zbudowaną pod kierownictwem polskiego inżyniera (inż.) Ernesta Malinowskiego. Niestety w końcu choroba d´Acosty go dopadła, co było wynikiem niewystarczającego zaaklimatyzowania się. Na północno-zachodnim krańcu Europy maskonur zwyczajny wplątał się w paralotnię Borzygniewa i ledwo udało mu się ujść z życiem. W Himalajach zwichnął nogę, zżymając się okrutnie na pechowy los, rzekł: „No cóż, Czomolungma musi poczekać”. W Nowej Zelandii próbował zamieszkać z hobbitami w Shire , lecz szczęście mu nie dopisało, bowiem został zadencjunowany przez jakąś nadgorliwą hażankę, że zadekował się w niziołkowej spiżarni.

Aż w końcu po przeszło rocznej podróży dotarł do przecudnej Tajlandii, gdzie odpocząć pragnął po trudach długo trwającej wędrówki. Nie skusił się na rafting ani na snorkeling, ani na kiteboarding. Hiperzmęczony trudami wędrówki udał się do hotelu spa and wellness, ostatecznie z backpackera zmieniając się w poshpackera, decydując się na niecodzienny pedikiur (pedicure) w wykonaniu niewielkich rybek garra rufa. Jego stopy okazały się znakomitym kąskiem. Wygłodniałe bestie dopadły Borzygniewa kończyn, skubiąc je zawzięcie, przepychając się, machając jasnobrązowymi płetwami w walce o najdogodniejsze miejsce. Rybki pracowały jak w ukropie, na pełnym etacie, niczym pumeks, tarka i cążki w jednym.

 Zrelaksowany jak nie co dzień wybrał się do tajskiego parku narodowego. Rozkoszował się widokiem rozbuchanej, soczystej zieleni, dokonując niezliczonych odkryć wspaniałości egzotycznej przyrody. Prawie udało mu się dopaść aparatem nektarnika, lecz w koronach rozłożystych drzew zaczął śpiewać krzykliwie gibon białoręki i ptaszę odleciało. Pomyślał: „Ach, jak pięknie musi tu być wieczorami, gdy spomiędzy gęstwiny drzew wyłuskać można pojedyncze światła rozgwieżdżonego nieba”. Niestety poniewczasie usłyszał szybko zbliżające się wrzaskliwe dźwięki unisono niby – świergolenia, niby – skrzeczenia. Oto ni stąd, ni zowąd zza chaszczów nadciągnęła kohorta barbarzyńskich makaków. Worały się pazurami w niego, walcząc zaciekle o grabież. Upadł i nic już nie pamiętał. Szast – prast! Małpia zgraja czmychnęła ze zdobyczą na teren ruin khmerskiej świątyni. Na wpół żywy, półprzytomny, pokiereszowany, w ponaddzieranym ubraniu, po niespodziewanym ataku zdołał dźwignąć swe uciemiężone ciało. Gdyby nie autochtonów życzliwość i pomoc, niechybnie skończyłby marnie. Zorientowawszy się, że został ze wszystkiego ogołocony, w gniewnym szale i rozżaleniu wrócił do hotelu, i powiedział: „Już dość.” Post factum rzewnie zaczął łkać, zapragnął nagle wrócić do macierzy, stwierdzając: „Jednakowoż podróże kształcą. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Azaliż to nieprawda?

Dyktando opracowała Katarzyna Urbaniak na podstawie *Wielkiego słownika ortograficznego* pod. red. Edwarda Polańskiego , PWN, Warszawa 2016.